

Ta książka jest mocniejsza niż kawa.  
Nie zaśniesz całą noc! — HARLAN COBEN



# Bez wahania

GREGG  
HURWITZ

ALBO TWOJA RODZINA, ALBO TWOJE ŻYCIE.  
WYBÓR NALEŻY DO CIEBIE...

# 1

Z tej wysokości samochody wyglądały jak kostki domina, a przechodnie jak poruszające się kropki. Nieprzerwana rześka bryza napełniała płuca Nate'a chłodnym powietrzem; tak blisko oceanu nie czuło się typowego dla Los Angeles smogu. Na zachodzie popołudniowe korki sięgały klifów Santa Monica, opadających pionowo ku połaci białego piasku i szarych jak łupki fal oceanu. Widok był przepiękny.

Tyle tylko, że on znalazł się tutaj, żeby się zabić.

Gzyms na dziesiątym pięttrze kończył się zaledwie pięć centymetrów za czubkami jego trampek. Utrzymanie równowagi stanowiło spore wyzwanie, ale najtrudniej było się tu dostać. Przepchnął się przez okno w łazience banku First Union i przez dobrą minutę, chwiejąc się, tkwił na gzymsie, zanim odważył się wstać.

Na ulicy poniżej ludzie spieszyli do swoich spraw, nikt nie uniósł głowy ani nie zmrużył oczu od słońca, by móc go zauważyć. Gdy przywarł plecami do ściany, jego zmysły zaczęły pracować ze zdwojoną siłą, czuł, jak serce tłucze mu się o żebra, wilgotna od potu koszula przylepia się do ramion, sól morską wdziera się w nozdrza. Wyglądało to jak panika,

ale było znacznie spokojniejsze, jakby jego mózg poddał się rozwojowi wydarzeń, lecz ciało nie odbierało odpowiednich sygnałów.

Ponieważ nie chciał ryzykować i spaść na kogoś – przy jego szczęściu, z siłą młota pneumatycznego wbiłby w chodnik jakąś uroczą staruszkę, która właśnie szła odebrać emeryturę – przesuwał się centymetr po centymetrze w stronę końca gzymsu. Narożnik budynku okazał się łatwiejszy do pokonania, niż przypuszczał, gdy zaparł się o ścianę łokciami, a potem spojrzął w dół, na pusty zaułek i na swój cel: stojący poniżej kontener na śmieci. Można by powiedzieć, że miał starannie przemyślany plan. Jeśli trafi prosto do kontenera, stalowe ściany zahamują rozbryzg krwi i od razu będzie zgrabnie zapakowany, gotowy, by przewieźć go do krematorium. Miał serdecznie dość ludzi, którzy musieli po nim sprzątać.

Minęło mniej niż dziesięć minut, odkąd uniośł klapę kontenera, ale wydawało mu się, jakby zrobił to wiele dni temu. Jazda na górę w chłodnej kabinie windy, skinienie głową do pomarszczonego, czarnoskórego strażnika z ochrony, ten ostatni moment, aby uspokoić nerwy przy rzędzie pisuarów, zanim, nie bez trudu, podniósł otwierane pionowo okno – każda z tych chwil rozciągała się, jakby miała trwać całe życie.

Oddział banku First Union należał do tych nielicznych spośród wszystkich banków na całym Zachodnim Wybrzeżu, które nie znajdowały się na parterze budynku – tańsza nieruchomość, więcej przestrzeni, lepsza ochrona. Ale obecnie tylko jeden wieżowiec interesował Nate'a. Oceniając swoje położenie, postąpił jeszcze pół kroku w prawo i zatrzymał się przy lekko uchylonym na zewnątrz skrzydle okna. Przez

szczelinę napływało ciepłe powietrze przesycone aromatem kawy oraz głosy kasjerów i klientów. Typowy dzień pracy.

Pomyślał o swoim własnym, kurczącym się koncie bankowym, które założył w tym oddziale. Jego następny krok – dosłownie – unieważni opiewającą na milion dolarów polisę na życie, którą regularnie opłacał w styczniu każdego roku, ale nawet to już się nie liczyło. Nie było nikogo, kto mógłby chcieć od niego czegokolwiek, a przed sobą miał jedynie coraz większe cierpienie.

Wziął głęboki oddech – jego ostatni? – i zamknął oczy. Rozkładając ręce, pozwolił, aby październikowy wiatr przeniknął przez cieką bawełnę koszulki i schłodził pot na żebrach. Czekał, aż życie zacznie mu przemykać przed oczami w eterycznym spektaklu muzyki i tańca, ale nic takiego się nie wydarzyło. Nie było obrazu ust Janie, rozchylających się i łączących z jego wargami w dniu ślubu, ani widoku Cielle, przebranej w Halloween za dynię, z rączkami umazanymi czekoladą i pulchnymi udami. Był tylko porywisty, kęsający wiatr i tysiąc kłujących igiełek strachu, które wbijały się w niego. Zgodnie z tym, co mówią taoizm i Hallmark, nawet najdłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku.

Ta najkrótsza także.

Uniósł jedną stopę i przesunął ją poza krawędź gzymsu, w pustkę.

I właśnie wtedy usłyszał strzały.

## 2

Przez ułamek sekundy Nate zachwiał się, jak gdyby osiągnął już punkt bez powrotu, ale zaraz lekkim skrzętem bioder zdołał cofnąć się na gzyms. Gdy nabrał potężny haust powietrza, rozległ się kolejny wystrzał i szkarłatna plama pojawiła się na szybie tuż obok niego.

Nate potrafił rozpoznać trzask broni krótkiej, pistoletu kalibru dziewięć milimetrów, ale następny dźwięk, charakterystyczny terkot, wskazywał, że w grze była też broń półautomatyczna.

Przez szczelinę w oknie dobiegł go ochrypły głos:

– Nie sięgajcie pod biurka. Cofnijcie się. Do tyłu! Widzieliście, co się stanie. Teraz kłaść się! Twarzami do podłogi, ale już!

Chwyając za dolną ramę uchylonego skrzydła i opierając się o nie ramieniem, Nate ostrożnie zajrzał do banku. Rozmazana na szybie krew sprawiała, że twarze bandytów były niewyraźne, ale dostrzegł, że wszyscy są w kominiarkach. Jeden stał jakieś półtora metra, może dwa od stanowisk kasowych, plecami do okna, z gotowym do strzału karabinem półautomatycznym w jednej ręce i berettą w drugiej,

metodycznie lustrując całe pomieszczenie. Tak jak pozostali miał na sobie jednocześnie czarny kombinezon lotniczy, buty na grubych podeszwach i czarne rękawice. Taśma izolacyjna oklejała mu przeguby i kostki, tak by nie wystawał nawet skrawek gołej skóry. Seria kul podziurawiła sufit, a mężczyznę spowiła chmura białego pyłu, nadając całej tej scenie nierealny wymiar.

Pracownicy banku leżeli na podłodze, z dłońmi na karku, czołami dotykając posadzki, oddychając chrapliwie. Dalej, w głównej sali, leżało tak samo około piętnastu klientów. Wózek z kawą był przewrócony, kubki wały się w brązowych kałużach. Dwaj bandyci krążyli po sali, przestępując ciała i wodząc lufami broni od jednej masy krytycznej do drugiej.

Przy wejściu leżał nieruchomo czarnoskóry strażnik, zaplątany w winylowy baner z napisem: „Bezpłatne rachunki przez internet!”, a litery w kolorze zieleni banknotów były zachłapane krwią. Podwinięta nogawka spodni odsłaniała nieprzepisową skarpetkę w paski.

Podczas gdy jego współnicy krzyczeli i miotali się, mężczyzna przy oknie miał ruchy płynne i opanowane, co wskazywało na większe doświadczenie. Kiedy inni wywrzaskiwali rozkazy, on zachowywał niepokojące milczenie. Biorąc pod uwagę jego pewność siebie i fakt, że posługiwał się dużą bronią, Nate uznał, że to właśnie on musiał być przywódcą gangu. Stał na tyle blisko, że Nate mógłby sięgnąć ręką przez okno i poklepać go po ramieniu.

Po prawej dwóch uzbrojonych mężczyzn (czyli pięciu, na razie było ich pięciu) wlokło w stronę skarbcza Latynoskę w średnim wieku. Gorączkowo przerzucała klucze w dwóch pękach, chociaż bez większego powodzenia. Kierowniczką

banku. Ubrana elegancko w wełniany kostium, do tego naszyjnik z pereł i kolczyki do kompletu. Uginały się pod nią nogi. Stalowe drzwi skarbcza, grubsze niż przeciętny pustak, były otwarte i jedynie przeszklona bramka chroniła znajdujące się dalej pomieszczenie ze skrytkami depozytowymi. Gdy kobieta zdołała w końcu włożyć dwa klucze do zamków i uchyliła bramkę, z tylnego korytarza wyłonił się szósty zamaskowany mężczyzna. Zdjął z ramienia płócienną czarną torbę i oznajmił:

– Kamery załatwione. – Wyjął groźnie wyglądającą piłę tarczową z rękojeścią jak przy pilarence łańcuchowej. Zęby białosrebrzystego ostrza zamigotały.

Ochryply szloch kobiety odbił się echem od ścian wyłożonych imitacją marmuru, a w pobliżu jakiś mężczyzna powtarzał błagalnie, w rozpaczliwym zapętleniu:

– Boże, o Boże, błagam, dopiero się zaręczyłem, dopiero...

Nate próbował przełknąć ślinę, ale gardło miał suche jak pustynia. Zapominając, gdzie stoi, cofnął się nieznacznie. Pomiędzy nogami ujrzał chodnik, daleko w dole, i zakreśliło mu się w głowie.

Podeszwa jednego trampka ześlizgnęła się z gzymsu, ciężar ciała zaczął spychać go w przepaść, odrywać od muru, a żołądek podszedł mu do gardła, dławiąc krzyk. Jego dłoń osunęła się kilka centymetrów, zanim wcisnęła się w róg ramy okiennej i ustabilizowała go, dyszącego, przy betonowej ścianie.

Bandyci wciąż pokrzykiwali, nie zwracając uwagi na drobne poruszenie na gzymsie z zewnątrz.

– ...jak ktoś się ruszy albo odezwie, choćby piśnie...

– Trójka i Piątka zajmijcie się tymi zawiasami. Czwórka, lepiej niech ta suka wprowadzi cię do...

Wszyscy wydawali nerwowe polecenia, z wyjątkiem szefa bandy, który stał w milczeniu, emanując aurą cichego zagrożenia.

Nate przylgnął do ramy okiennej, z twarzą przy szczelinie, spoglądając w dół, prosto w oczy kasjerki, która leżała skulona tuż pod oknem. Był wstrząśnięty, że nie zauważył jej wcześniej. Na jej białej bluzce widniała powiększająca się plama krwi. Usta poruszyły się kilkakrotnie, pojawiła się na nich krew, wraz z pęcherzykiem powietrza. Kobieta spojrzała w górę, na Nate'a, z niedowierzaniem, jakby nie wiedziała, dlaczego się przewróciła albo dlaczego do okna na dziesiątym piętrze przyleciał nagle anioł z zarostem na twarzy.

Jedną rękę miała unieruchomioną nad głową, dłoń o barwie kości słoniowej drżała konwulsyjnie, przekrzywiona na bok. Kobieta patrzyła błagalnie na Nate'a. Widząc, jak unosi się i opada jej klatka piersiowa, poczuł, że odzyskuje oddech. Sięgnął w dół i chwycił ją za rękę. Była chłodna i gładka, jak wyciosana z marmuru. Z ust kobiety wydobył się bulgoczący dźwięk, pęcherzyk pękł, pozostawiając na uszmiokowanych wargach drobniutkie kropelki szkarłatu.

Szef bandy spojrzał na stoper i po raz pierwszy przemówił. Lekki akcent, całkowity spokój.

– Chciałbym usłyszeć tę piłę, Trójka.

W odpowiedzi ze skarbcza dobiegł wizg metalu i trysnęła kaskada iskier. Kierowniczka cofnęła się do wejścia, zasłaniając twarz zaciśniętymi w pięści rękami. Jej usta utworzyły owal, żyły na szyi nabrzmiały, ale zgrzyt piły tnącej metal zagłuszył wszystkie inne dźwięki. Największy z mężczyzn trzymał kobietę za włosy. Uderzył jej głową w drzwi skarbcza; na jej czole wykwitła ciemna smuga krwi,



lecz usta pozostały otwarte, pięści drżały przy brodzie. Sięgające do połowy ściany przepierzenie i otwarta bramka przy kasie pozwoliły Nate'owi ujrzeć obraz jak z filmu grozy – wyprężone ramię, zrzucony but na wysokim obcasie, pęk wyrwanych włosów tkwiący w dłoni okrytej czarną rękawicą.

Dopiero gdy framuga wpiła mu się w pierś, uświadomił sobie, że sięga ręką przez okno. Chłodna dłoń w jego dłoni boleśnie ścisnęła mu palce. Spojrzał w dół, na leżącą kobietę. Jej spojrzenie zmętniało, patrzyła bardziej przez niego niż na niego, a po chwili jej śliczne zielone oczy przestały widzieć cokolwiek.

Piła ucichła, kierowniczką odzyskała głos, a Nate oderwał wzrok od stężejącej po śmierci twarzy. Uwolnił dłoń i wysunął rękę z okna, próbując odzyskać w niej czucie.

Krzyki kierowniczki nie cichły. Olbrzym odwrócił się i popatrzył bezradnie na szefa, który rzucił władczym tonem:

- Jest za blisko alarmu. Załatw ją.
- Posłuchaj, Szóstka, ile osób zabijemy?

Szef ekipy, pomyślał Nate. Szóstka.

Ciężko zadudniły buty szefa, gdy przeszedł przez salę. Na plecach miał ślady gipsowego pyłu. Uniósł ręce i karabin zakasłał, wybijając rząd otworów na sztywnym kostiumie kobiety. Ostre dźwięki i zgroza omal nie strąciły Nate'a z gzymsu. Kobieta wciąż stała groteskowo, oparta o otwarte drzwi skarbcza, dopóki Szóstka nie przyłożył dwóch palców do jej ramienia i jej nie popchnął. Runęła na podłogę, z jedną ręką wysuniętą do przodu, pierścionki zagrzechotały o posadzkę. Kolczyk z perłą poleciał w bok, odbijając się od nogi biurka.

Kilka osób na głównej sali krzyknęło, jakieś dziecko zaczęło żałośnie płakać – jeden przeciągły falujący dźwięk.

Mężczyzna w średnim wieku zaszlochał rozpaczliwie, przywierając kurczowo do podłogi.

– Jeden trup czy dwadzieścia, wyrok ten sam. – Głos szefa ekipy był nadal całkiem spokojny, niemal obojętny. Mężczyzna starł biały pył z ramienia. – Ja zajmę się skarbcem. Opróżnij szuflady kasowe. – Podał wielkoludowi karabin i ruszając w stronę skrytek depozytowych, wskazał kolejne kasy. – Teraz ta. I tamta.

Olbrzym posłusznie skierował się do kas, a Nate gwałtownie cofnął głowę od szczeliny w oknie. Gdy kroki się zbliżyły, przycisnął twarz do swojego naprężonego bicepsa. Wilgotna od potu koszula ziębiła mu plecy. Wiatr rozwiewał jej poły. Nate zorientował się, że wbija zęby w ramię, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Mężczyzna przeszedł obok okna, odtrącając butem na bok nogę martwej kasjerki. Odłożył beretkę na niską szafkę z aktami, zarzucił karabin na ramię i zaczął opróżniać szuflady kasowe, wkładając wszystko do czarnego plastikowego worka na śmieci.

Wnętrze banku wypełnił krzyk. Był słyszalny nawet na zewnątrz, na gzymsie. Nate znów zaryzykował i przyciskając policzek do betonu, jednym okiem zajrzał do środka. Jakaś klientka szarpała się, leżąc na brzuchu, a dwaj mężczyźni w maskach natychmiast ruszyli w jej stronę. Nate zastanawiał się, co ona, u licha, robi, dopóki nie zauważył dziewczynki z warkoczykami, mniej więcej czteroletniej, która wyslizgnęła się spod niej i pobiegła w kierunku wyjścia. Lufy dwóch pistoletów śledziły ruchy małej. Matka znowu krzyknęła, podnosząc się na jedno kolano i chwytając dziecko za rękę. Stojący najbliżej mężczyzna kopnął ją w twarz, krew trysnęła z rozciętej wargi i kobieta upadła bezwładnie, pociągając za

sobą dziewczynkę. Mała zaczęła na czworakach przesuwając się w bok, a na płatku jej ucha pojawiła się smuga ciemnej krwi matki. Odczołgała się aż pod kolumnę i dalej już nie miała dokąd uciekać. Drżąc cała, oplótła rękami nogi i schowała twarz w kolanach, po czym zamilkła jak wyłączony telewizor.

Drugi mężczyzna – Dwójka? – podszedł i popatrzył na nią.  
– Wracaj i dołącz do reszty. Dalej, jazda.

Dziewczynka się nie poruszyła. Mężczyzna wycelował pistolet w jej głowę.

Na ten widok Nate zbliżył się do szczeliny, bo nagle obudził się w nim uśpiony instynkt ojcowski. Pod naciskiem łokcia skrzydło okna bardziej się odchyliło. Stojący ze dwa metry od Nate'a postawny mężczyzna obserwował scenę rozgrywającą się na sali. W końcu odchrząknął i wrócił do opróżniania szuflad, a jego masywne łopatki zafalowały pod czarnym materiałem lotniczego kombinezonu.

Dwójka, trzymając oburącz berettę, wbił wzrok w dziewczynkę.

– Radzę posłuchać, mała.

Ze skarbca ponownie dobiegł wizg piły, przeciągły zgrzyt metalu, a kominiarka znów poruszyła się w miejscu, gdzie powinny znajdować się usta Dwójki – ostatnie ostrzeżenie dla dziewczynki.

„Jeden trup czy dwadzieścia, wyrok ten sam”.

Nate spojrział w piękne zielone martwe oczy, wciąż na niego skierowane. Przeniósł wzrok na kolczyk z perłą, porzucony na zaplamionej posadzce. A potem na berettę leżącą na niskiej szafce z aktami, tuż za plecami olbrzyma, niecałe pół metra od parapetu.

Nate naparł na okno, które uchyliło się o kolejnych kilka

centymetrów, dość, aby zdołał przecisnąć przez nie tułów. Ześlizgnął się głową w dół, na zwłoki kasjerki. Jej ciało stłumiło odgłos jego upadku, choć jazgot piły tarczowej rozbrzmiewający wśród betonowych ścian i tak zagłuszał wszelkie dźwięki. Trzej rabusie zniknęli w skarbcu. Olbrzym stał ze dwa metry od niego, wciąż odwrócony tyłem, i grzebał w szufladzie kasowej. Dwaj inni, obecni na głównej sali, nie spuszczaali wzroku z dziewczynki. Oba pistolety były uniesione do strzału, masywne buciory mężczyzn zbliżały się do niej. Nie poruszyła się jednak, skulona, z pochyloną głową, oplatając ramionami podgięte nogi.

Podnosząc się, Nate poczuł wyraźną skargę swoich trzydziestosześcioletnich kolan. Raptem opuściła go apatia ostatnich kilku miesięcy i po raz pierwszy od dawna poczuł, że robi coś bez wahania. Że wreszcie ma jakiś cel.

Postąpił naprzód i sięgnął po leżącą na szafce beretę.

# 3

Nate uniósł berettę, wycelował w tył głowy olbrzyma i strzelił. Spust stawiał opór, nastąpiła ćwierćsekundowa zwłoka i gdzieś pomiędzy odrzutem a szkarłatnym rozbryzgiem, jaki wykwitł na szybie okienka kasowego, Nate uświadomił sobie, że przy pierwszym naciśnięciu spustu zamek działał dwutaktowo. Dalej będzie już jednotaktowy.

Strzał był cichy w porównaniu ze zgrzytem piły w skarbcu. Kolana olbrzyma uderzyły o posadzkę. Gdy upadł, jego ramionami wstrząsnął dreszcz. W tej samej chwili Nate zobaczył obecnych w głównej sali dwóch zamaskowanych mężczyzn.

A oni zobaczyli jego.

Obie maski z zaskoczeniem odwróciły się w jego stronę, a ich ruch wydawał się przeraźliwie długi, jak w zwolnionym tempie. Mimo to uniesienie głów, niczym u psa obronnego szykującego się do ataku, sprawiło, że lodowaty dreszcz przeszedł Nate'owi po plecach. Zdał sobie sprawę, co było nie tak z tymi twarzami: nie miały oczu. Otwory przesłaniała siatka, tak że nie było widać nawet skrawka ciała, a ten owadzi efekt nadawał ich głowom niepokojąco idealną

gładkość.

Z dziwnym spokojem Nate patrzył, jak dłonie w rękawicach się unoszą, a palce zaciskają się na krzywiźnie srebrzystych spustów. Kula ze świstem przeleciała tuż obok jego twarzy, tak blisko, że skórę owionął mu gorący podmuch. Zdał sobie sprawę, że w ogóle się nie boi. W swej obojętności poczuł, jakby z jego ramion zdjęto ogromne brzemie. Uśmiech wypłynął mu na usta, wyimaginowane okowy zniknęły. A potem jego ręce się uniosły. Z zatrważającym opanowaniem upomniął sam siebie, że musi ustabilizować nadgarstki, tak jak go uczono, że nie powinien przygotowywać się na odwet i że jeżeli nawet nie był asem, to na pewno zaliczał się do niezłych strzelców. Powietrze wokół jego głowy zgęstniało, gdy obok przemknęły kolejne kule; wycelował przez ściankę kasy w pierwszego z mężczyzn, pociągnął za spust: pół głowy zamaskowanego mężczyzny zmieniło się w czerwoną mgiełkę. Facet runął na ziemię. Jego kompan wciąż strzelał, z lufy wytryskiwał ogień, ale huku nadal nie było słychać przez ogłuszający jazgot piły. Nate także strzelał, z przeciwległej ściany wzbijały się obłoczki gipsowego pyłu, a puste łuski przelatywały szerokim łukiem, koziolkując w jego polu widzenia. Postąpił naprzód, wychodząc przez bramkę kasową na główną salę, ku nadlatującym kulom i niechybnej śmierci; jego zmysły ożywiła wizja wolności – a może nawet czegoś więcej. Wizja wyzwolenia.

Maska Dwójki rozciągnęła się na wysokości ust – mężczyzna krzyczał, ramiona mu drżały. Nate patrzył, jak gwintowany otwór lufy zwraca się ku niemu niczym czarne oko, i odpowiedział zuchwałym spojrzeniem, a w jego myślach pojawiło się samobójcze ponaglenie.

Tylko niech ci ręka nie zadrży. Traf mnie!

Lufa jednak drgnęła w lewo, kule ominęły Nate'a. Powtórzył złowieszczą groźbę mężczyzny – „Radzę posłuchać, mała” – a gniew wyostrzył mu zmysły. Poczul, jak beretta raz po raz kopie w jego dłoniach, aż materiał kombinezonu tamtego, powyżej piersi, zatańczył krótki szalony taniec i mężczyzna runął ciężko na wznak.

W którymś momencie, ze dwie, trzy sekundy wcześniej, jazgot piły ucichł i odgłos strzałów tym razem zabrzmiał wyraźnie. Nate błyskawicznie odwrócił się w stronę skarbcza. Wyszedł stamtąd mężczyzna z piłą tarczową w dłoniach, w podwiniętej kominiarce, tak że można było ujrzeć wyraz lekkiego zdziwienia na jego twarzy. Nate odstrzelił mu ucho. Trysnęła krew. Mężczyzna targnął głową do tyłu, a Nate wpakował mu kulkę w wyrażającą zdumienie zmarszczkę między oczami.

Naprawdę? Tylko na tyle was stać, tandeciarze?

Krawędź karbowanej okładziny przy kolbie boleśnie wpijała się Nate'owi w nasadę kciuka. Woń kordytu wypełniła powietrze, przenosząc go prawie o dziesięć lat w przeszłość, do płonących piasków i krwi zalewającej oczy.

Zamrugał, by powrócić do teraźniejszości. Czterech załatwionych, zostało jeszcze dwóch.

Gdy cofał się za rząd kas, spojrzął na leżący na podłodze karabin, zastanawiając się, czy go wziąć. Nie miał jednak czasu, by odczepić go i mocować się z martwym ciałem, pospieszył więc w stronę drzwi skarbcza, przestępując ponad drżącymi ciałami pracowników banku.

– Przepraszam, proszę wybaczyć, przepraszam.

Odpowiadały mu szloch i zduszone westchnienia. Jęk syren przybrał na sile, ale wciąż był tak cichy, że mógł być wytworem wyobraźni.

Zza ościeżnicy skarbca wysunęła się dłoń z pistoletem; strzelano na oślep. Nate starannie wycelował w rękę z bronią i szybko, zdecydowanie szedł dalej – kierowała nim nie odwaga czy heroizm, ale po prostu nie miał nic do stracenia. Oddał jeden strzał, pocisk trafił w drzwi skarbca. Nate znów się przymierzył i strzelił jeszcze dwa razy, stawiając na pamięć mięśniową, reakcję i instynkt. Pistolet odfrunął do tyłu, palce rozcapierzyły się w zabawny sposób, jakby ręka chciała pomachać, i zaraz potem wycofała się, nietknięta.

Kolejne pięć kroków zbliżyło Nate'a do drzwi skarbca. Wszedł przez nie bez wahania. W przeciwległym rogu siedział mężczyzna: opierając łokcie na kolanach, celował w drzwi. Wydawało się, że nie może chybić, ale kula zamiast trafić Nate'a w głowę, przeleciała ze świstem obok jego szyi, po czym odbiła się od ścian skarbca więcej razy, niż było to prawdopodobne. Nate uniósł pistolet, uznając, że jest tak blisko, iż nawet nie musi mierzyć, po czym oddał dwa strzały w brzuch tamtego. W tej samej chwili usłyszał szumnięcie buta w martwym punkcie za sobą. Zrobił krok, chłodny metal musnął jego szyję i zmienił się w sztylet ognia przesywający mu mięsień czworoboczny. Obrócił się i strzelił, ale kurek tylko sucho szczęknął – co oznaczało piętnaście najszybciej oddanych strzałów w całym jego życiu.

Ostrze szarpnęło mu mięsień na całej długości ramienia, drut kolczasty wbił się głęboko w żyłę. Fala żaru wlała się do małego palca. Kiedy zdołał odwrócić głowę, ujrzał trzonek noża do listów, wystający z jego ciała jak pióro indiańskiego wojownika.

Jęknął cicho.

Skierował wzrok na mężczyznę, który go zranił. Facet wciąż miał na głowie kominiarkę, siatki na oczach jaśniały



w blasku świetlówek, ale Nate i tak rozpoznał tę sylwetkę.

Szóstka.

Z bliska szef bandy wydawał się drobny: wąski w biodrach, żyłasty, o budowie ciała pozwalającej na maksymalną skuteczność. Miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt trzy wzrostu, był niższy od swoich współników.

Wzrok Nate'a przykuł fragment odsłoniętego ciała: biel skóry uderzająco kontrastowała z czernią ubioru. Mężczyzna zdjął czarną rękawiczkę z prawej dłoni; skóra u nasady jego kciuka była zaróżowiona po tym, jak Nate strzałem wytrącił mu pistolet. Uniósł dłoń i zaczął masować bolące miejsce, co przepełniło Nate'a szczeniacką dumą.

Stali kilka kroków od siebie: mężczyzna w kominiarce z pustymi rękami, Nate z pistoletem bez naboju w magazynku. Nate z pewnym rozczarowaniem uświadomił sobie, że przynajmniej w tej chwili nikt nikogo nie zabije. Niezdarnie wzruszył zdrowym ramieniem, po czym zamachnął się i cisnął berettą w twarz tamtego. Szóstka ledwie drgnął, beretta trafiła go w czoło. Przyłożył dłoń do czarnego materiału, w miejscu trafienia, i potarł złączonymi czubkami palców, jak ktoś, kto przywykł do sprawdzania, czy krwawi. Nie zdradzał żadnych emocji.

Syreny brzmiały coraz głośniejsze.

Znów ten głos – absolutny spokój i lekki akcent.

– Będzie bardzo zły na ciebie.

– Powiedz temu, o kim mówisz, żeby wziął numerka – odparł Nate.

Mężczyzna wycelował w niego palec.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłeś.

Te słowa – a jeszcze bardziej kryjąca się za nimi groźba – sprawiły, że rozbawienie Nate'a natychmiast przysło i

przeszył go lodowaty dreszcz. Po raz pierwszy, odkąd zszedł z gzymsu, poczuł strach, zimny i czysty.

Mężczyzna zrobił jeden krok do tyłu, potem drugi, siatkowe oczy wpatrywały się w Nate'a.

– On dopilnuje, żebyś za to zapłacił. W taki sposób, że nawet sobie nie wyobrażasz – wycedził, po czym wyslizgnął się ze skarbcza, a jego kroki rozplynęły się w oddali.

Nate, oszołomiony, popatrzył dookoła, by zorientować się w otoczeniu. Pomijając wielką ścianę skrytek depozytowych, skarbiec wyglądał rozczarowująco zwyczajnie. Betonowe ściany, szafki na akta, kilka osobnych sejfów Diebolda, równie imponujących jak schowki bagażowe na pierwszym lepszym lotnisku. Ze stojącego na podłodze kartonowego pudła wysypywał się stos kopert świątecznych i kilka zabłąkanych zszywaczy biurowych; Nate domyślił się, że to właśnie stąd pochodził nóż do listów, wbity teraz w jego ramię. Jeden sejf był rozpruty, dobrano się też do skrytek depozytowych. Grube metalowe zawiasy sterczały, tworząc grzbiety w kształcie litery V, okalające każdą kolumnę skrytek. Większość zawiasów przecięto piłą tarczową, choć metalowe drzwiczki poszczególnych skrytek były zamknięte i blokujące je rygle tkwiły na swoim miejscu. Czerwone prostokątne uchwyty magnetyczne, w rodzaju takich, jakich używa się do podnoszenia pojedynczych arkuszy blachy z całego stosu, pozostały przyłączone do znajdujących się najbliżej skrytek. Nate widział, że użyto ich, by wyważyć drzwiczki. Zobaczył na podłodze kilka otwartych skrytek: obca waluta, biżuteria i rozmaite dokumenty leżały rozrzucone koło butów martwego mężczyzny. Niezły plan – usunąć zawiasy, sforsować drzwiczki i proszę – całe bogactwo na wyciągnięcie ręki.

Słumione krzyki z głównej sali wyrwały Nate'a z niechętnego podziwiania taktyki bandytów.

Pomyślał o wydanym oschle rozkazie: „Załatw ją” – i żołądek podszedł mu do gardła. „Jeden trup czy dwadzieścia, wyrok ten sam”. Ludzkie życie wobec zimnej skuteczności. Groza, jaką musieli odczuwać ci ludzie.

Wrócił do głównej sali. Wszyscy nadal leżeli twarzami do podłogi. Słysząc było ciche pochlipywanie. Kilka głów lekko się poruszyło. Z ulicy dobiegł pisk opon.

Nate odchrząknął.

– Słuchajcie, już po wszystkim. Tamtych już nie ma. Czy raczej nie żyją, jak sądzę. Jesteście bezpieczni. Możecie wstać.

Ale nikt nawet nie drgnął.

Nate zastanawiał się przez chwilę, czy to się dzieje naprawdę, czy może jest jakimś dziwacznym snem.

– Daję wam słowo – powiedział – że już nikt was nie skrzywdzi. Nie musicie się bać.

Postąpił ostrożnie krok naprzód, a jego lewy bok przeszyła fala paraliżującego bólu. Krzywiąc się, spróbował dosięgnąć noża do listów, ale ten ruch sprawił tylko, że trzonek umknął mu spod palców.

Syren było coraz więcej, dołączył terkot śmigłowca i głos zniekształcony przez megafon. Telefon przy stanowisku z tabliczką NOWE RACHUNKI dzwonił i dzwonił, bez przerwy. Nate patrzył na ten nieruchomy obraz, na tych wszystkich ludzi, zbyt przerażonych, aby wstać.

Dziewczynka podczołgała się do matki, wciąż nieprzytomnej po tym, jak została kopnięta w twarz. Nate przykucnął nad leżącą kobietą i przyłożył dwa palce do jej szyi. Puls był silny.

– W porządku – powiedział do dziewczynki. – Twoja

mamusia dojdzie do siebie. – Znowu się podniósł, aż strzeliło mu w kolanach, i oznajmił donośnym głosem: – Ja... ee... sprowadzę pomoc. Lekarzy. Okay? Nic wam nie jest?

Wciąż tylko cisza.

Dziewczynka wyciągnęła do niego ramiona. Spojrzał na nią, a znajomy gest, mówiący: „weź mnie na rączki”, sprawił, że coś w jego sercu, które uważał za wypalone i martwe, nagle drgnęło. Jeden z jej warkoczyków rozplótł się, uwalniając burzę włosów. Krew na jej płatkach ucha zakrzepła w czarną skorupę. Policzki błyszcząły od łez, ale twarzyczka pozostawała pusta z przerażenia. Przykucnął i podniósł ją, stękając z bólu, próbując używać siły nóg zamiast ramion. Gdy musnęła nadgarstkiem trzonek noża do listów, zrobiło mu się niedobrze. Przez chwilę był prawie pewien, że zwymiotuje. Mimo to szedł dalej, ku drzwiom, czując ciepło krwi przesiąkającej mu przez koszulę.

Strażnik leżał na wznak, z głową przekrzywioną pod nienaturalnym kątem, niewidzące oczy patrzyły wprost na nich. Wsiadając do windy, Nate odwrócił się, tak by dziewczynka nie zobaczyła martwego mężczyzny. Nie opierała się, tylko jeszcze bardziej wtuliła twarzyczkę w zagłębienie jego szyi, a kiedy poczuł zapach dziecięcego szamponu, powróciło do niego wspomnienie Cielle, kiedy była w tym wieku i kąpała się w wanience.

„Nie chlapiemy!”.

Winda z cichym szumem sunęła na dół. Nate czuł mrowienie całej skóry – pozostałość wrażenia, że jest niezniszczalny, jakie go przepełniło, gdy świstały przy nim kule. Kiedy ostatni raz przeżywał coś takiego? W tamtej sali zdołał coś oszukać, wysać ostatnie resztki szpiku z kości.

Winda zwolniła, ciało dziewczynki boleśnie obciążało mu

ramię. Czuł przy szyi dotyk jej gorącej buzi i zdał sobie sprawę, że przez cały czas do niej mówi, szepcząc jak mantrę: „wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, wszystko...”.

Drzwi rozsunęły się, ukazując pusty hol. Jego kroki stały się cięższe, w miarę jak zbliżał się do przeszklonych drzwi frontowych. Za nimi, na ulicy, widać było radiowozy, furgonetki SWAT, karetki i wozy strażackie. Barykady na przemian z lufami karabinów, modelowa zaporą. Z balkonów i daszków błyskały lunety karabinów snajperskich.

Dziewczynka pisnęła z przerażenia i wtuliła się bardziej w jego szyję. Obejmując ją mocno jedną ręką i nie bez bólu unosząc drugą rękę nad głowę, przepchnął się przez obrotowe drzwi i chwiejnym krokiem wyszedł na spotkanie jasnego światła dnia i niezliczonych, wycelowanych w niego luf.